



PIOTR WŁÓDARCZAK

ZOO-zwierzenia zootechnika

Przedwigilijne opowieści

W zasadzie śpiewać nie potrafię, to nie moja bajka, ale pasterzem w życiu już bywałem. Pamiętam jak pasłem kiedyś 500 krów w jednym PGR-ze, ale kolega – mój współpasterz, miał w kieszeni wino pełne siarki z nagą kobietą na etykiecie. No cóż... nie daliśmy się długo prosić i trunek wypiliśmy, a potem jeszcze jeden i kolejny... aż utraciliśmy na słońcu świadomość, co wykorzystwały krasule i porozchodziły się we wszystkich kierunkach. Co prawda bydlęta przede mną nie klękały, ale opowiem Wam o kilku spotkaniach z dziwnymi ludźmi i ich zwierzakami, jakich doświadczyłem w mojej praktyce dzień przed Wigilią. Oto moja opowieść wigilijna. Ale najpierw...

Moje ulubione święta...

Odbýwały się zawsze we wsi Ligota, niedaleko Ostrowa Wielkopolskiego, gdy żyli tam jeszcze moi dziadkowie i cała rodzina zjeżdżała się z różnych stron naszego kraju, aby uczestniczyć w naprawdę familijnych świętach, bez zadęcia i sztuczności. Pamiętam, że poszczególni uczestnicy zjeżdżali się głównie pociągami, a ze stacji kolejowej, położonej kilkanaście kilometrów od naszej wsi, odbierał ich nasz lokalny kierowca. Jako jedyny mieszkaniec wsi miał wówczas samochód marki Warszawa i pełnił całodobowe dyżury, aby ludzi w potrzebie zawozić na stację i ich z niej odbierać. Grafik miał więc wypełniony po brzegi. Nie miał żadnych opon zimowych i swoim pojazdem pokonywał naprawdę spore zasy. I rzdził sobie w śnieżnej zamieci, w warunkach, jakich dzisiaj rzadko się doświadcza. To już nie te zimy co kiedyś! Z reguły podróżowaliśmy z Poznania koleją (tak samo jak reszta), a za oknem przedziału wisały dwie siatki z żywymi karpami, żeby nie ugotowały się wewnątrz.

Jechały tak przez trzy godziny w mrozie -20 stopni Celsjusza, ale po dotarciu do miejsca przeznaczenia odżywały z hibernacji w pięć minut i pływały w metalowej balii.

Moja babcia miała trzech braci mieszkających w sąsiedniej wsi i wszyscy prowadzili duże gospodarstwa rolne, w tym utrzymywali bydło mleczne, stada od 30 do 50 sztuk. Mój dziadek był kowalem i nie miał żadnej Mućki, uwielbiałem więc jeździć w odwiedziny do moich wujków i spędzać z nimi cały dzień na oprzątaniu zwierząt. Gdy po południu ciocie doły krówki w oborze, najpierw ręcznie, a potem dojarakami, ich miarowy takt pracy pomieszany z pobrzękiwaniem łańcuchów na szyjach krowin i szelestem zajadane go siana bardzo przypadł mi do gustu i zapomniałem o szkolnych problemach. Jako mieszczuch naprawdę czułem się wtedy zadowolony, zwłaszcza że nazajutrz miała być Wigilia i wielka wyzerka, tym wspanialsza, że na stole pojawiały się prawdziwe rarytasy, niedostępne dla nas w dniu codziennym. Widać było gołym okiem, że gospodynie naprawdę kochały swoje krowy i gdyby zwierzęta umiały przemówić w dniu Wigilii, to wyraziłyby same superlatywy pod adresem swoich właścicielek. Pomimo że bydło mleczne kojarzy się raczej z automa-

tyzacją procesów, intensyfikacją produkcji, gdzie więź między farmerem a bydłem, między krowami a cielętami jest słaba, to jednak wówczas ludzie i przeżuwacze żyli w swoistej symbiozie. Dlatego poniżej wspomnę jeszcze kilku „aparatów”, dla których ich krowy były całym życiem i na pewno darzyli je pozytywnymi uczuciami.

Problematyczny klient

Gdy kolczykowałem bydło na zlecenie ARiMR, pewnego dnia natknąłem się na byłego komandosa wojsk powietrzno-desantowych czy jakoś tak (nie jestem mocny w sprawach wojskowych, nie byłem nawet w wojsku, bo ze względu na brak finansów armia nie brała absolwentów wyższych uczelni), który żył samotnie w guszy, na polance otoczonej laskiem i wysokimi, gęstymi krzakami. Zanim go w ogóle poznałem, kręciłem się po okolicy i obsługiwałem innych mieszkańców pobliskich wiosek, i zawsze słyszałem od nich pytania:

- A kogo jeszcze będziesz pan kolczykować? A byłeś już pan u Romanowskiego? – a potem zawieszali głos, puszczały do mnie oko z pobażaniem i dodawali: „oj, tam będzie ciężko, nie dasz pan rady”. No i tak mnie tym gadaniem odstraszyli, że codziennie wymyślałem sobie wizyty u innych rolników w okolicy, żeby tylko nie pojechać do owego pana. No, ale w końcu musiałem i stało się to w dniu poprzedzającym Wigilię. Może z uwagi na święta krowiny okażą się trochę bardziej przyjazne i dla mnie łaskawe? Problem z Romanowskim polegał na tym, że utrzymywał 65 sztuk bydła w stanie półdzikim, a zwierzęta nie miały żadnych obór, wałęsały się po krzakach i lesie, w dzień i w nocy, jak więc do jasnej cholery będę mógł je złapać? Na dodatek zaczął padać deszcz i wokół zapadła mgła, i w takiej nieciekawej scenarii odnalazłem pana Romanowskiego w jego lichej chatynce.

Krowi komandos w akcji

Ucieszył się na mój widok, jakby papież do niego przybył, a gdy zapytał dlaczego jestem taki ponury, opowiedziałem mu co ludzie mó-



wili, że nigdy nie złapiemy tych cholernych krów! Uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział: „Mój panie, nie będzie żadnego problemu, wcale a wcale. Daj mi pan 10 minut”. Ubrał podniszczoną kurtkę i czapkę na głowę i wyszedł z chaty. Zaczął wydawać dziwne odgłosy, jodłować, gwizdać i charczeć, przekazywał w ten sposób swoje sygnały, a na ich dźwięk krowy zaczęły powoli wyłaniać się z lasu i rzędami zbliżały się do zabudowań. Nie wierzyłem własnym oczom, szczególnie, że krowy po drodze posegregowały się według wieku i wielkości na kilka grup technologicznych, a każda z nich udała się do swojego miejsca przeznaczenia. Okazało się, że na tyłach domu krowiny miały pobudowane małe schronienia... o ścianach zrobionych ze snopków słomy i nakrytych plandeką. Półdzikie stwory wlażyły ze spokojem do swoich polnych bunkrów, a we wnętrzu przywarły bokami do siebie i wypełniły całe pomieszczenie. Stały w rzędzie jak trusie. „Kurcze, a jak tutaj wejść do środka? One mnie straszą” – myślałem, gapiąc się na cielska zwierząt parujące od deszczu, jak samowar na mrozie, przez co nic nie było w środku widać. Ale Romanowski wziął ode mnie kolczykownicę, dosłownie wskoczył na grzbiet pierwszej krowy, jak Indianin na mustanga, stanął na jej grzbiecie, jak podczas wołyżerki, i od góry wrzepił kolczyki w uszy. Nic się nie stało, zdziwiony przeżuwacz potrząsnął tylko łepetyną, ale w pełni ufał swojemu panu. Tymczasem mój farmer skakał dalej po grzbietach krów i byków, chodząc po nich i kładł się na nich i w kilka minut zakolczykował cały bunkier, a ja podawałem mu tylko kolczyki, jak pasy z nabojami do cekaemu. Po 45 minutach mieliśmy koniec pracy, bez żadnej szamotaniny, złowrogich okrzyków, a na komendę swojego właściciela krowiny z nowymi kolczykami w uszach wyszły na zewnątrz i poszły w siną dal. My tymczasem wypiliśmy gorącą herbatkę w skromnej kuchence gospodarza, który opowiedział mi swoją historię, a zaczął od tego, jak był komandosem i nauczono go działań na wysokości. Zuch, Maładiec!

Cielak wita mnie w drzwiach

Jednak dziwów tego dnia nie było końca. Po wizycie u Romanowskiego pojechałem do innej wsi i podczas przetrząsania domostw i obór natrafiłem na dom tonący w starym złomie i niepotrzebnych przedmiotach, które ktoś rzucił 50 lat temu, i tak leżały tam do dzisiaj. Rozpoznałem nawet karoserię do syrenki 105, stare pługi, garnki, nocniki... Taki był burdel, że trudno było odnaleźć ścieżkę do domu. Gdy wreszcie zapukałem do drzwi usłyszałem: „wejść!”. Wykonałem polecenie, ale w korytarzu, wewnątrz domu stał... duży cielak i gapił

się na mnie wielkimi oczami. Nie przejmował się specjalnie moją osobą. Nagle z kuchni wyszedł drugi cielak i w korytarzu zrobiło się trochę ciasno.

- Otwórz pan drzwi, to wyjdą – krzyknął gospodarz z drugiego pokoju, z którego wylatywała jakaś dymowa.

Zrobiłem jak powiedział i cielaki wymaszerowały na dwór, a pod nogami przeleciało mi jeszcze kilka warchlaków, dwie kury i jakieś kaczki. „O do diaska, jakiś współczesny dr Dolittle. Żyje i gada ze zwierzętami” – stwierdziłem w duchu. Okazało się, że gość mieszkał sam ze swoimi stworami i pozwalał im wchodzić do środka mieszkania. Zresztą niewiele z niego zostało, bo główny lokator spalił wszystkie meble już wcześniej, gdyż nie miał ogrzewania. Oderwał nawet klepki od podłogi i też strawił je ogień, a dodatkowo wrzucał do ogniska – na środku pokoju! (dym wylatywał przez okno) jakieś papiery.

„Masz pan paszporty mam tych cielaków?” – zapytałem nieśmiało.

- Eeee...ni mam! Panie, no właśnie przed chwilą je spaliłem, nie mogłeś pan wcześniej mówić, że są trzebne? – wyjaśnił mi lokator. „To bym najpierw PIT-y zjechał” – dodał.

Nie było dla niej miejsca w chlewiku. Opowieść wigilijna

Pewnego dnia, tuż przed Wigilią, uczestniczyłem w pobieraniu krwi u świń, przeprowadzonym przez powiatowego lekarza weterynarii. Działo się to po południu, a podczas całej operacji byłem „łapaczem”



i nie mówię o grze w baseballa, w której faktycznie jest taka pozycja, ale o tym, że łapałem świnki w kojcu na tak zwany poskrom. Wtedy unieruchomioną sztukę dopadał lekarz weterynarii, wbijał igłę w jej szyję i łapał krew do probówki. W pewnym momencie mieliśmy na widelcu warchlaka w wadze około 28 kg, był w ciemne plamy na skórze, odziedziczone po rasie Duroc, i zaraz po wyjęciu igły z jego ciała, padł na ziemię tak nagle, jakby raził go prąd. Po prostu kojfnął

przepisowo. Nie ruszał się, nie oddychał, nie dawał znaku życia. Lekarz wraz ze swiątą pochylił się nad nim, przebadali, popukali i zdiagnozowali: „nagły zgon”. No cóż... mówi się trudno, zwierzaka odczepiliśmy z poskromu, a jego ciało trafiło na wózek z padliną. Po dwóch godzinach – na koniec dnia – martwy warchlak został wywieziony do pomieszczenia, w którym znajdowały się kontenery z martwą tkanką zwierzęcą. Ponieważ nie było miejsca wewnątrz kontenerów, teoretycznie padłą sztukę położono obok nich na betonie. Był grudniowy mróz, więc sytuacja nie była taka zła, bo ciało świnki powinno się zamrozić. Po wykonaniu zaplanowanych na ten dzień czynności, wieczorową już porą wszyscy udali się do domu, a dodatkowo ustalono, że do padłej sztuki – wskutek działań lekarza z urzędu – nazajutrz przyjedzie komisja w celu oszacowania straty. Jednak do tego nie doszło, bo rano okazało się, że świnki po prostu nie ma. Po kilku godzinach wyszło na jaw, że martwy zbieg żyje i śpi sobie w najlepsze w kołysce z figurą Pana Jezusa. Alarm podniosła pani kościelna, która rano przybyła do świątyni i zauważyła, że kupa siana, która okrywała Boże Dziecię rusza się na wszystkie strony. W sianku, na dole wielkiego drewnianego żłobu, buszował świniak.

Ale, ale... po kolei. Nasza martwa świnka ocknęła się pod wpływem mrozu i szukając jakiegoś schronienia wyruszyła na wędrowną po wsi. A była to wieś specyficzna, bo PGR-owska, składała się tylko z kilku bloków mieszkalnych, zabudowań gospodarskich, biura i jednocześnie mieszkania kierownika zakładu rolnego, a także z małego, podupadłego kościoła. Miejscowy ksiądz lubił robić świąteczny żłobek na zewnątrz i religijną instalację – jak co roku – zbudował obok kościoła. Nasz zmartwychwstały warchlak błąkał się po wsi szukając jakiegoś lokum dla siebie i nie mógł niczego znaleźć, bo wszystkie drzwi były przed nim pozamykane. Nikt nie chciał go ugościć, udostępnić kąta w chlewiku, stajni lub

owczarni, a dodatkowo pogoniły go psy. Świnka trafiła wreszcie w okolice kościoła, pomyszkowała wokół figur trzech króli i widząc stertę ciepłego i pachnącego siana nie namyślała się długo i hop!, wskoczyła do żłobu. Pan Jezus nie miał nic przeciwko, więc oboje spali sobie smacznie, aż do rana.

Tak oto rozegrała się zwierzęca opowieść wigilijna, ale z tym zmartwychwstaniem trochę przesadziła, bo przecież ten motyw mamy dopiero w święta Wielkanocne. ■